

Bieszczady

Migawka

Psychologowie ewolucyjni zwracają uwagę na to, że wyraźne i gęste brwi u mężczyzn są jednym z uniwersalnych kanonów atrakcyjności fizycznej. Tacy faceci mieli i wciąż mają większe szanse u płci przeciwnej – wydają się bardziej przystojni. Przypominam to sobie, gdy mozolnie i jednocześnie w szybkim tempie pnę się w górę z jednej z bieszczadzskich dolin w kierunku łysych połonin w paśmie Halicza. Pot zalewa mi twarz – jak to się mówi. A moje brwi działają jak las zapobiegający powodzi. Gęste i nieprzetrzebione, w przeciwieństwie do moich włosów na głowie, potrafią zatrzymać spływającą wodę, a jej nadmiar kierują poza oczy. Tak, jestem z pewnością dalekim potomkiem tych szczęśliwców, którzy przez tysiące lat „pracując” nad swymi brwiami, w kluczowych momentach walki bądź ucieczki nie musieli martwić się o zalewający oczy słony pot.

Tracę sporo wody, bo spieszę się, by zdążyć przed zmrokiem wejść na górę. Właściwie już wiem, że nie dam rady, a tu przede mną coraz mniej wyraźna ścieżka, która dodatkowo stopniowo rozplywa się w gęstniejącej ciemności. Tak czy owak, w tej szarówce rozpoznaję jeszcze po drodze dwie kupy niedźwiedzia. Nie powiem, żeby mi to poprawiło nastrój. Jestem sam, w nieznanym terenie, w którym chadzają misie. No i robi się ciemno. W plecaku mam około litra wody. Za mało by uzupełnić straty i jeszcze umyć się przed snem. Rozglądam się za wodą, ale szanse na nią są mizerne. Musiałbym zejść na dno doliny, a na to mam za mało czasu. Idę więc w górę, a moja uwaga jest tak wyostrojona, że rejestruję każdy szmer i szelest.

W końcu tracę ścieżkę. Przedzieram się przez rozległą łąkę brodząc w wysokiej trawie. To tutaj łapię ostatnie strzępy dziennego światła. Gdy wchodzę w bukowy ostęp, spowija mnie zupełna ciemność. Wiem tylko, że mam piąć się w górę. Ważę każdy krok. Choć jest ciemno, z czasem mój wzrok oswaja się, w czym pomaga blade światło księżyca. Niecierpliwie czekam, aż wyjdę na połoninę. Tam będzie zdecydowanie jaśniej i jakoś tak bezpieczniej. Póki co jednak ciągle jestem w buczynowym labiryncie.

Aż tu nagle między drzewami majaczy jakieś duże cielsko. Nieruchome. Tutaj, niemal na końcu świata, na wysokości ok. 1000 m n.p.m. poza duktami, szlakami i ścieżkami, w parku narodowym, jak nic, stoi zaparkowany quad. Przycupnął sobie ot tak, czekając na swojego pana, gotowy do drogi na każde zawołanie. A może wręcz przeciwnie, poległ tutaj w zmaganiach ze stromizną stoku, rozrzuconymi kłodami i rowami nie do przebycia dla kołowego wehikułu. Tak czy inaczej, ten cywilizacyjny akcent jakoś mnie uspokaja. Nasi byli tutaj. Ta maszyna jest jakąś obietnicą ratunku, przypomnieniem ludzkiego ducha, który swoją siermiężnością pokonuje nieprzewidywalność natury. Zapach smaru i benzyny jest niczym powiew ożywczego wiatru. Chętnie wtuliłbym się w zimną karoserię albo krągłości opon i tak przetrwał noc, jak dziecko przy matce. Od razu też uśmiecham się do siebie na te wszystkie myśli. Tak, mój męski duch wystawia mnie na te wszystkie niewygody, by wzrastać i krzepnąć w sile, choć po prawdzie to przecież boję się ciemności, samotnego brnięcia w nieznaną i braku wody w ciele i butelce. Uśmiecham się do siebie i idę dalej, zostawiając nieruchome cielsko za sobą. W górę serca! Nawet jeśli jest ono pełne niepokoju.

Gdy wychodzę na połoninę, wstępują we mnie nowe siły. Jest jaśniej i jest więcej przestrzeni. Noc na dobre rozgościła się rojem gwiazd nad głową. Ostatnie podejście jest jednak bardzo trudne. Podchodzę po niemal pionowej ścianie porośniętej gęsto borówkami. Łapię się kurczowo rękami i podciągam, pomagając tym samym nogom, aż w końcu mam fioletowe całe dłonie. Im wyżej podchodzę, tym silniejszy wiatr dmucha mi w twarz. Pod samym szczytem nie jestem w stanie już iść – podmuchy są tak silne. Mam wrażenie, jakby wiatr chciał mnie pozbawić jestestwa. Powietrze nie tylko oplata mnie, ale przenika od wewnątrz, rozwiewając na wszystkie strony moją integralność.

Tak, mam wrażenie, że jeśli za chwilę gdzieś się nie schowam, to przestanę istnieć, rozwiany na cztery strony świata. To prawdziwa groźba szaleństwa, dezintegracji wobec czegoś tak potężnego jak wiatr. I gdzie tu znaleźć miejsce do spania? Zauważam w końcu niewielką kępkę młodych świerczków. Tutaj, między krzakami borówek, osłonięty przed własnymi demonami, dotrwam do świtu, by nabrać w kieszenie trochę wolności.

Ryszard Kulik